TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 51. *Chicago, Ills., 17 Czerwca, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU.

(Ciąg dalszy.)

— Muszę zaglądnąć... — mruknął sam do siebie, choćby mnie złapali... przecież mię nie powieszą; nie jestem złodziejem.

Malec zbliżył się do drzwi z postanowieniem dostania się przez okno, gdyby drzwi zastał zamknięte. Z przezornością, jakiejby mu najwprawniejszy pozazdrościł złodziej, położył rękę na klamce, naciskając z początku lekko, a potem mocniej, gdy postrzegł, że się drzwi nie odmykają. To go zdziwiło; u drzwi nie było widocznego zamku, a przecież otworzyć nie mógł. Wypadało przypuścić, że zamknięto je wewnątrz na zasuwkę, a w takim razie ktoś się w chacie znajdował. To odkrycie jeszcze go ostrożniejszym zrobiło.

— A to osobliwsza rzecz! — rzekł. — Nikogo nie widzę, chociaż w chacie jedna tylko izba.

Chciał odemknąć okno; ale tam czekała go sroga niespodzianka, która z niedowiarka

nagle zabobonnym go zrobiła. Przed kominem, plecami do ognia obrócony, stał królikarz... Ralf nie mógł się mylić: widział jego ubiór, jego wzrost wysoki, jego kapelusz i torbę myśliwską.

Rude włosy zjeżyły się na głowie małego ulicznika. Na szczęście przerażenie jego było tak wielkie, że nie mógł krzyknąć. Zsunął się z krawędzi okna i zemdlony upadł na trawę.

XLVI.

Joe Beans spał smacznym snem w swojem łóżku na plebanii. Może marzył o Zuzannie. Rzecz to bardzo możliwa, bo właśnie na parę godzin przed tem przyrzekła mu, że pójdzie za niego w tym samym dniu, w którym Henryk Ashton zaślubi miss Ellenę de Vere. Po takim przyrzeczeniu mógłżeż Joe marzyć o kim innym jak o narzeczonej?

Kilkakrotnie zapukano do okna, ale Joe spał ciągle. Trudno obudzić tego, kto śni przyjemnie. Kamień rzucony stłukł nareszcie szybę, a kawałki szkła potłuczonego z brzękiem upadły na podłogę. Joe zerwał się nagle, a wyjrzawszy oknem, zapytał:

— Kto tam?

W odpowiedź nowy kamyk upadł na jego łóżko.

Wyskoczył z łóżka i pobiegłszy do okna, powtórzył:

— Kto tam taki?

— To ja! panie Beans! — odezwał się znany głos Ralfa.

Skulony pod drzewem na łące, biedny pastuszek, po okropnem zjawisku, jakie mu się pokazało w chacie Sidelera, nie mógł się uspokoić; potrzebował opowiedzieć przyjacielowi, co widział własnemi oczyma.

— Co ty tu robisz o tej porze? — zapytał Joe nie zbyt uprzejmie. — Zdaje mi się Ralfie, żeś się musiał upić, a ztąd te wszystkie przewidzenia.

— Piłem, ale tylko wodę.

— Wróć się do domu.

— Do domu!... Nie, nie, panie Beans! Nie odważyłbym się iść przez błonie. Zejdź do mnie, proszę cię. Przysięgam, że powiedziałem prawdę! Jeżeli się okaże, żem skłamał, to mnie możesz obić potężnie!

W tej ostatniej propozycyi było coś przekonywającego. Joe postanowił skłonić się do żądania małego urwisza.

— Poczekaj, — rzekł, — tylko nie hałasuj, bo przestraszysz pana rektora i wszystkich domowników!

— Dobrze panie Beans, tylko się pospiesz.

W dziesięć minut Joe był na łące. Miał zrazu zamiar wyłajać chłopca; ale ujrzawszy bladość i drganie kurczowe jego rysów twarzy, brzydszej jeszcze przy blasku księżyca niż w dzień, nie spełnił zamiaru, tylko z lekka dotknąwszy ręką ramienia biedaka trzęsącego się ze strachu, spytał, co mu jest.

— Widziałem go! widziałem! — zawołał Ralf prawie z obłąkaniem.

— Widziałeś?... Kogoż to?

— Królikarza! — wyjąkał pastuszek dzwoniąc zębami z przerażenia.

— Pleciesz chłopcze, przewidział ci się. Umarli nie wstają!

— Tak sądzisz? i ja tak myślałem! a teraz inaczej się przekonałem!... Powiadam ci panie Beans, żem go widział, ubranego całkiem tak, jak chodził w Cromwell-House; miał na sobie torbę myśliwską, a na głowie kapelusz o szerokich kresach spadających mu na brwi krzaczaste. Słowo daję... mógłbym na to przysiądz!

— Gdzieżeś go widział?

— W chacie koło lasu, gdzie dawniej mieszkał. Zapewne nie jedno popełnił morderstwo i dla tego spokoju znaleźć nie może po śmierci!

— Czcze urojenie, mój kochany Ralfie, — odpowiedział Joe; — nie wmówisz tego we mnie! musiałeś się albo upić, albo ci się przyśniło!

Joe mówił to jednak raczej dla doświadczenia malca, niż dla wyrażenia własnych powątpiewań silnie już zachwianych. Prawie w każdym człowieku, zwłaszcza nie posiadającym nauki, tkwi jakaś łatwowierność wrodzona, jakieś zamiłowanie do wydarzeń cudownych; Joe nie był także wolnym od tej słabostki.

— Czyś go widział z twarzy? — zapytał po chwili zastanowienia.

— Nie... nie! Dosyć mi było widzieć jego starą odzież i kapelusz dobrze znany! — odrzekł Ralf z drżeniem zgrozy. — Ale pewny jestem, że to nikt inny, tylko on! Miał na stole szkatułkę czworograniastą, czarną i srebrem

ozdobną, którą gdzieś widziałem, ale nie pamiętam gdzie i kiedy... może ty ją znasz, panie Beans?

Na wspomnienie o szkatułce, nowa myśl zajaśniała w głowie poczciwego wieśniaka. W rzeczy samej widział pudełko podobne do tego, które pastuszek opisał. Wiedział również, że owdowiała lady William miała pudełko w srebro okute, które co noc pod wezgłowie kładła; nie tajnem mu było także, że w niem znajdowały się ważne papiery, a między innemi list pułkownika pisany do kapitana Lucas.

— Dowcipny z ciebie chłopiec! Ralfie! — rzekł do niego.

— Czy doprawdy? — przemówił malec uśmiechając się z radości na tę pochwałę. — Nie byłbym tak myślał, na uczciwość!

— To nie upior... jestem tego pewny...

— Ach? czy być może?

— Nie inaczej. Jest to jakiś nikczemny oszust, który przybrał powierzchowność Willa Sidelera, aby tych przestraszyć, którzyby chcieli się oprzeć jego występnym zamiarom. Ale on mnie nie wyprowadzi w pole! Zaczekaj tu na chwilkę; pójdę po moje pistolety. Wykurzymy tego zdrajcę!

— Czy tylko się nie mylisz, panie Beans? zjawisko to tak podobne było do królikarza!

— Założyłbym się, że to pułkownik Mowbray, albo jaki pomocnik jego. Chce zabrać szkatułkę zawierającą jego nikczemności! Jak na dłoni widzę, co to wszystko znaczy!

— I ja rozumiem! — zawołał Ralf uradowany; — teraz sobie przypominam, gdzie widziałem to pudełko! Ta pani czarno ubrana, z bladą twarzą, trzymała je w ręku, gdy master Harry prowadził ją do sali w Carrow-Abbey! Jakiż ja głupi! Ale kiedy to nie upior, to biegnijmy coprędzej, aby go złapać! Ja się nie boję człowieka, który ma krew i ciało, jak my wszyscy!

Joe dobrze uzbrojony wyszedł z plebanii. Pastuszek wybrał się z nim chętnie w drogę, ale mimo jego najusilniejszych nalegań, nie chciał mu Joe powierzyć palnej broni. Wiedział, że chłopak jest nietylko chytry, ale i zwinny jak kot, a zatem w razie niebezpieczeństwa ucieczką ratować się może, nie potrzebując pistoletu, który w jego niedoświadczonej dłoni, mógłby być bronią szkodliwą.

W chwili, gdy Red-Ralf biegnąc przodem, miał wyjść z cienia gęstwiny na łąkę blaskiem księżyca oświetloną, towarzysz jego roztropniejszy, wydał krzyk puszczyka. Rudy malec stanął w miejscu jak wyżeł potulny.

— Czego sobie życzysz, panie Beans? — zapytał.

— Nie biegnij tak prędko, może być niebezpieczeństwo!

— Zaczekaj, ja pierwszy pójdę, — rzekł Joe.

— O nie, panie Beans, na to nie zezwolę! Jesteś moim życzliwym przyjacielem; dawałeś mi zawsze dobre rady, wyrobiłeś mi nawet służbę u pana Ashton... Ja z tobą pójdę! Nie boję się; choć ja mały, jestem jednak dosyć silny, zobaczysz!

— Dobrze, dobrze, — odparł towarzysz tknięty wiernością chłopczyny, — chodź ze mną, ale cicho się zachowuj! ani słówka nie piśnij, dopóki do ciebie nie zagadam!

— Dobrze, panie Beans, będę milczał jak pień.

— A gdyby mnie co złego spotkało, — dodał młody parobek wzruszonym głosem, — bież co sił do plebanii, pobudź służących i pana Henryka, i opowiedz mu coś widział.

Małemu pastuszkowi serce wzdęło się żalem na myśl, że jego opiekuńczy towarzysz może być narażony na jakie niebezpieczeństwo.

— Będę ci we wszystkiem posłuszny, mój dobry panie Beans; przyrzekam ci, ale daj mi jeden pistolet! Zapewniam cię, że umiem się z nim obchodzić. Ze sto razy strzelałem wróble i kosy w Mortlake, a nigdy nie chybiłem. Dla czego tak powątpiewasz o mojej zręczności?

— Oto masz jeden, ale bądź ostrożny!

— Będę.

— A pamiętaj użyć go dopiero w ostateczności, to jest, gdybyś musiał bronić własnego życia!

— Albo twojego panie Beans, — mruknął Ralf. — Rozumiem; nie jestem ja taki głupi, jak się wydaję.

Drzwi domku były otworzone; ze środka zasuwały się wielkim drągiem żelaznym, który teraz o ścianę stał oparty. Idąc omackiem, bo okiennice były pozamykane, Joe Beans postanowił nareszcie skrzesać ognia.

Ujrzeli wtedy na stole świecę do pół dopaloną, tkwiącą w próżnej flaszce; zaświecił ją Beans; byli sami w izbie.

— Tu nie ma nikogo!

— Nie ma, panie Beans; ptaszek uleciał.

— Czy tylko był jaki?

— O tem łatwo się przekonać?

— A to w jaki sposób?

— Zrób, jak to czyniłem w Mortlake, dla dowiedzenia się, czy ptaki wysiadywały, jaja: czy gniazdo ciepłe!

Joe zaczął rozgrzebywać popiół, nagromadzony w kominie; kilka iskier jasnych prysnęło w powietrze, a żar nie całkiem wygasły, zaczął się rozniecać za zetknięciem się z powietrzem.

— Przebóg, masz słuszność mój Ralfie, gniazdo ciepłe.

— A co?

Po dokładniejszem przetrząśnieniu chaty, znaleźli nie tylko zapasy pożywienia na półce, ale mech i słomę w kącie izby, służące zamiast łóżka.

To jeszcze nie wszystko. Pod słomą odkryli torbę podróżną z bielizną i sukniami, które widocznie należały do człowieka, w dostatku żyjącego.

— Co teraz myślisz, panie Beans?

— Żeś miał słuszność chłopcze; a ja głupi byłem, żem ci nie chciał wierzyć!

— Nie! nie głupi ale nadto niedowierzający!... Czy nie zechcecz zaglądnąć w kieszenie tych sukień?

Kieszenie były próżne, tylko w jednej był bilet wizytowy a na nim jakieś notatki w cyfrach napisane.

— Podaj świecę — rzekł Joe.

Ralf usłuchał rozkazu; ale choć Joe cyfer zrozumieć nie mógł, nazwisko wydrukowane na karcie jasnym było dowodem, że bilet należał do pułkownika Mowbray.

— Ralfie! próżno czas tracimy! Ten łotr może już dokonywa niecnego zamiaru. Idźmy dalej!

— A dokądże pójdziemy?

— Do zamku! tam się dokończy dzieło dzisiejszej nocy!

— Ja cię nie odstąpię, panie Beans: odkąd wiem, że to nie upior, przestałem się bać.

Teraz Joe szedł przodem, i tak spiesznie postępował, że malec musiał podskakiwać, aby się z nim zrównać. W niespełna pół godziny doszli do muru, otaczającego zwierzyniec.

— Czy mam pójść zadzwonić do budki stróża? — zapytał wyrostek zadyszany z szybkiego biegu.

— Zrób jak ja! — odparł towarzysz, chwytając gałęź drzewa zwieszającą się z poza muru; w mgnieniu oka podrzucił się na wierzch, a potem skoczył na przeciwną stronę. Ralf poszedł natychmiast za jego przykładem i obaj ujrzeli się w parku.

Pobiegli ku Opactwu. Cisza grobowa zalegała poważną budowę; nigdzie światła w oknie widać nie było; wszystko we śnie zdawało się spoczywać!

— Patrz tam, patrz! — mruknął Ralf, chwytając towarzysza za ramię i pokazując mu krzaki rosnące wzdłuż rowu, do którego niegdyś wtrącił wielebnego pastora Tordletexte; — nie sami tu jesteśmy.

Joe ujrzał wyraźnie cień człowieka, dążącego ku gaikowi, wśród którego wznosił się stary pawilon gotycki. Było to niegdyś ulubione schronienie sir Williama Mowbray i jego żony. Ale od czasu jej zniknięcia, drzwi tego przybytku wiecznie były zamknięte.

— Dzięki Bogu! — szepnął Joe, — przybyliśmy w czas!

Zatrzymawszy się chwilę, udali się w tym samym kierunku. Klucz tkwił w drzwiach pawilonu. Joe otworzył je i z pistoletem wszedł do pokoju, a Ralf tuż za nim. Nie zastali nikogo.

Jakieś słabe światło zdawało się z pod ziemi wychodzić. Za zbliżeniem się ujrzeli, że podniesiono jedną płytę kamienną, i znaleźli wschody.

Światło musiał widocznie nieść ten człowiek, którego ścigali, bo się oddalało robiąc się coraz słabszem.

Nie rzekłszy słowa, zaczęli bez wahania schodzić po stopniach. Joe był już na ostatnim stopniu, gdy usłyszał, że mały jego towarzysz odwiódł kurek od pistoletu. Chciał się przygotować do bitwy, jak twierdził.

— Bądź ostrożny! — szepnął Joe.

— Spuść się na mnie, panie Beans; alež to osobliwszy budynek, przypomina mi Cromwell House!

XLVII.

Chociaż dawni słudzy rodziny Mowbray byli szczęśliwymi z powrotu do Opactwa, mimo to jakieś uczucie przestrachu zakłócało ich radość. Żaden z nich nie śmiał się do tego

przyznać, ale każdy drżał, przechodząc przez puste komnaty i korytarze. Szelest własnych kroków przerażał ich; to też każdego wieczora, spieszyli do izby ochmistrzyni, gdzie jasno płonący ogień na kominku i towarzystwo zebrane rozpędzało wrażenie bojaźni.

Ze szczególną skwapliwością unikali galeryi portretów i biblioteki, które były widownią strasznych wypadków, w żałobę cały Carrow pogrążających. Tylko stary Marcin nie stracił odwagi; wchodził on tam często i sam jeden przechadzał się w smutnem zadumaniu.

Mistress Jarmy i piwniczy Nicholls, oddawna znający starego sługę, nie mogli sobie wytłumaczyć jego postępowania i tajemniczego sposobu mówienia. Często bowiem słyszeli jak powtarzał:

— Jeszcze nie! jeszcze nie czas spocząć! aloes jeszcze nie zakwitł!

— Co on rozumie pod tym aloesem, o którym ustawicznie wspomina? — pytała zacna klucznica innych domowników.

Ale żaden nie umiał wyjaśnić tych wyrazów, a Marcina badać byłoby daremnem usiłowaniem. Od ostatnich wydarzeń stał się większym niemową niż przedtem.

Mieszkańcy zamku udali się na spoczynek, oprócz sług, którzy się zebrali dokoła kominka u mistress Jarmy. Przejęci obawą nie myśleli rozejść się tak prędko. Służba księżnej Devonshire dotrzymywała im towarzystwa, a poczciwa stara ochmistrzyni, ugaszczając ich po swojemu, opowiadała jedną z przerażających historyi wydarzonych w Carrow Abbey.

— Posłano mnie do zamku — mówiła — abym pomagała mojej babce, podczas wesela lady Bianki, na które połowa szlachty z całego kraju się zjechała. Mija wieczór, nowozaślubiona idzie do swojej komnaty, gdy nagle tańcujący goście, uwijając się jeszcze żwawo w galeryi, zostali przerażeni przenikliwym krzykiem i dźwiękiem dzwonka....

— I cóż, cóż dalej? — odezwało się kilku z obecnych zdjętych ciekawością i trwogą.

Mistress Jarmy chciała właśnie głos zabrać, gdy w tem usłyszano jakiś krzyk w odległej części zamku. Wśród ciszy nocnej wydał się on jakby wołanie nieszczęśliwego pod nożem zabójcy.

Ochmistrzyni zbladła; służebne zaczęły cisnąć się do dzielnego Filipa, który na wpół skamieniał ze strachu. Nawet stary Marcin powstał z krzesła.

— Czyście słyszeli? — zapytała pokojowa.

Okrzyk nietylko się powtórzył, ale nawet dzwonek się odezwał; na nieszczęście trwoga objęła wszystkich domowników do tego stopnia, że nie umieli rozróżnić z czyjego pokoju dźwięk dzwonka dolatywał.

— Zamordują nas wszystkich! — krzyknął lokaj księżnej.

— Albo co gorsza, upiory nas pochwycą! — odezwała się pokojowa.

— Trzeba zobaczyć, co się stało! — rzekł Marcin poważnie.

— A tak, tak! — wyjąknął Nicholls. — Nie gniewaj się na nas Marcinie! Jestem tchórz, przyznaję, ale mimo to nie omieszkam spełnić co mi obowiązek nakazuje!

Dwaj starcy wzięli pistolety i wyszli. Napróżno mistress Jarmy zaklinała Filipa, pokojowca księżnej Devonshire, by się za nimi udał.

— Chętnie bym to uczynił — odpowiedział, — ale mnie powinność od tego wstrzymuje!

— Powinność? — powtórzyła sędziwa matrona; — powiedz raczej bojaźń!... Mniejsza o to! sama pójdę.

I wierna sługa byłaby z pewnością zamiar wykonała, gdyby dziewczęta służebne przemocą jej nie zatrzymały.

— Wystrzał z pistoletu dał się słyszeć, poczem nastąpił krzyk przeciągły.

— To głos milady! — zawołała ochmistrzyni; puście mnie do niej!

— Zabójcy!

— Upior!

Znowu rozległy się krzyki. Z rozpaczliwem wytężeniem wszystkich sił, stara klucznica wyrwała się z objęć zatrzymujących ją sług i wybiegła z izby, zostawiając wszystkich prawie martwych ze strachu.

Czas też byśmy zobaczyli, co się dzieje z Joem Beans i jego towarzyszem.

Wązki chodnik podziemny, wzdłuż którego postępowali ostrożnie za migającem zdala światełkiem, był murowany z kamieni i przynajmniej tak starożytnej budowy jak Opactwo. Było tam tyle zakrętów co w króliczych norach, a w miejscach gdzie załomy kąt tworzyły, widać było jakieś rzeźby na sklepieniu; najczęściej spotykało się głowy mnichów i świętych, wyciosane w niszach narożnych i na gzymsach.

Raz czy dwa światło zatrzymało się, jakby idący przystawał słysząc może szelest jaki. Wtedy Joe i Ralf zatrzymowali się także, usiłując oddech w sobie przytłumić, aby nie zdradzili swojej obecności.

— Zdejmiemy obuwie, — rzekł pierwszy, — aby nasz chód był cichy.

— Dobrze, panie Beans, — szepnął pastuszek.

Światło prawie z oczu im znikło, gdy się znowu puścili w drogę. Nakoniec przybyli do schodów podobnych do tych, które z gotyckiego powilonu na dół prowadziły. Tu się zatrzymali nadsłuchując.

— Otwiera drzwi! — rzekł Joe w duchu, słysząc skrzypienie sprężyny czy też klamki pociśnionej.

Za chwilę ostatni blask świecy zniknął, a nasi znajomi pozostali w zupełnej ciemności. Wyszli po schodach do góry i znaleźli się przed ścianą drewnianą, która im dalszą drogę tamowała. Jęk głęboki wydarł się z piersi Joego.

— Boże ulituj się nad nami! — zawołał Ralf; — co takiego, panie Beans?

— Cicho! mruknął Joe; tu są drzwi.

— Czy otwarte?

— Nie! czy masz z sobą krzesiwo?

— Oto jest!

Skrzesali ognia, a zapałka świeciła się na szczęście tak długo, dopóki nie odkryli ogniwa żelaznego w dębowej ścianie. Obracając je i ciągnąc we wszystkich kierunkach, uczuli, że ściana się usuwa i wnet znaleźli się obadwa w galeryi portretów Carrow-Abbey.

Zostań tu, Ralfie, koło tych drzwi tajemnych — rzekł nareszcie.

— A gdzież ty idziesz?

— Gdzie będę potrzebnym. Ty zostaniesz; możesz się łatwo skryć za jakimkolwiek sprzętem. Gdyby mniemane widmo chciało wrócić którędy przyszło...

— To je zastrzelę! — zawołał mały człowiek z wyrazem energii w małych oczkach, — choćbym za to miał wisieć!

Wtenczas to dał się słyszeć pierwszy raz krzyk, a potem zaraz pierwszy dźwięk dzwonka. Natychmiast poznał Joe, w jakim kierunku ma iść dalej.

— No! trzymaj się dzielnie chłopcze, a zrobię z ciebie człowieka!

To powiedziawszy pospieszył na drugi koniec galeryi i zniknął we drzwiach odchylonych.

— Wolałbym widzieć cię z powrotem, niż mieć wszystkie pieniądze zakopane w Cromwell House... — Wołał Ralf szlochając. — Chciałbym się modlić za niego, gdybym umiał. Niech go Bóg ma w swojej opiece! W żadnym razie modlitwa nie zaszkodzi, chociaż pochodzi z serca takiego nieuka jakim ja jestem. Powtarzam więc: Niech go Pan Bóg ma w swojej opiece! A teraz, — dodał, — opatrując bacznie skałkę pistoletu, teraz niechże się mój upior strzeże! bo mam wielką ochotę wpakować mu nabój w głowę!

Niezwłocznie ukrył się za stolik wytwornej roboty z kosztownego drzewa, stojący w pobliżu tajnego wchodu, i z tego ukrycia mógł, nie będąc sam dostrzeżonym, widzieć każdego wchodzącego do galeryi.

W życiu całem, nasz mały trzpiot nie doznawał wzruszenia jak w tej chwili, ale był dumny zaufaniem Joego, którego kochał i bardzo poważał, i za nic w świecie nie byłby się ruszył z powierzonego mu stanowiska.

Tymczasem idźmy za poczciwym wieśniakiem do komnaty Elleny i lady Mowbray, dokąd się udał za krzykiem usłyszanym.

Pułkownik Mowbray, on to bowiem był owym upiorem, mógł dostać się do ich pokoju, mając klucz dorobiony wówczas jeszcze, gdy zamierzał dogodzić szalonej namiętności Mirana-Hafaz.

Obie niewiasty spały; śmiech igrał na ustach panienki; widać, że miała sny błogie; rysy twarzy owdowiałej damy były niespokojne.

Przez parę chwil, widok tych dwóch osób, młodej dziewczyny uśmiechającej się w wiośnie życia, i dojrzałej matrony oddawna nieznającej szczęścia, i to z powodów jego podstępów, odebrał odwagę złoczyńcy, który przyszedł z postanowieniem zabrania papierów. Dla tego to przyniósł z sobą hebanową skrzyneczkę, spodziewając się zamienić ją za drugą, bardzo do niej podobną z powierzchowności. Ale wahanie krótko trwało. Wstrzymując w sobie oddech, zwolna przybliżył się do łóżka, i wsunął lekko rękę pod poduszkę. Jakkolwiek ruchy jego były ciche, przerwały jednak sen sieroty, która budząc się nagle, mniemała, że widzi widmo Willa Sideler. Wydala głośny okrzyk, czem obudziła lady William obok niej śpiącą, i zemdlała z przerażenia. Milady bezmyślnie

prawie chwyciła taśmę od dzwonka, ale zbójca nocny wydarł ją natychmiast z jej ręki.

— Kto ty? — zapytała zaledwie przytomna, — i czego tu szukasz!

— Skrzyneczki! — szepnął pułkownik.

Szczęściem, że lady Mowbray nigdy nie widziała Sidelera: inaczej byłaby zapewne równie jak jej młoda towarzyszka zemdlała z przestrachu.

— Mojej skrzyneczki? nie wydam jej nikomu! Zabij mnie, bo dobrowolnie nie rozstanę się z tą jedyną nitką Ariadny, która mi może poda sposób odszukania syna, ani z temi papierami, które mieszczą w sobie dowody, żem była godną mego nieszczęśliwego małżonka!... Cóżem zawiniła ludziom, że ciągle knują przeciwko mnie spiski?

Schwyciła szkatułkę z rozpaczliwą energią, jaką w niej obudziło przywiązanie macierzyńskie. Krzyczała coraz przeraźliwiej, czem rozdraźniła złe namiętności drzemiące w sercu pułkownika. Wydobył nóż z kieszeni, aby przeciąć jej palce u ręki, i w ten sposób zmusić do puszczenia z dłoni skarbu, o który się kusił, ale w tem szamotaniu spadła mu z głowy siwa peruka wraz z kapeluszem, które miały mu służyć do oszukania i odstraszenia znajomych.

Przy blasku lampy nocnej na stoliku koło łóżka stojącej, bratowa poznała go natychmiast i wymówiła jego imię. Wtedy potwór zamiar swój zmienił. Zabójstwo stało się koniecznem dla jego własnego bezpieczeństwa.

— Szalona! — mruknął, — byłbym cię oszczędził.

Właśnie w tej chwili Joe rzucił się na zbrodniarza. Nie dosłyszano jak wchodził, bo zdjął był trzewiki jeszcze w podziemnem sklepieniu. Schwycił pułkownika za kark i silnie go na ziemię powalił.

— Ratuj mnie! ratuj! — zawołała lady Mowbray.

— Milady, czy masz swoją szkatułkę?

— Ach, zniknęła! — wyjąknęła przestraszona wdowa. — Nie myśl już o ocaleniu mego życia... tylko odszukaj tę skrzyneczkę!

Chociaż odurzony na chwilę ciężkiem upadnięciem, pułkownik niebawem odzyskał przytomność, i rzuciwszy się w drzwi otwarte, udał się spiesznie ku galeryi portretów, a za nim w ślad Joe.

Lady Mowbray zaczęła dzwonić, aby przywołać domowników na pomoc.

Właśnie gdy pułkownik wchodził do galeryi drzwiami od zachodu, trzymając pod pachą szkatułkę, Marcin i Nicholls ukazali się na przeciwnym jej końcu.

Piwniczy wydał okrzyk przerażenia, i padł na kolana ujrzawszy to zjawisko tak do powieszonego Sidelera podobne, zdaleka bowiem nie mógł dostrzedz różnicy. Marcin, choć nie mniej przestraszony, zbliżył się odważnie ku niemu, ale drogo przeplacił swoją odwagę, gdyż mniemane widmo wystrzałem z pistoletu bok mu przeszyło; starzec upadł z jękiem bolesnym na ziemię, ale wnet został pomszczony. Kiedy bowiem zabójca macał, by trafić na ukrytą sprężynę tajemniczych drzwiczek, Rudy Ralf zcicha podszedł ku niemu, i wypalił doń z pistoletu. Kula przebiła mu kolumnę pacierzową... Malec chciał go tylko lekko zranić, by go nieszkodliwym uczynić. Pułkownik wił się na posadzce jak wąż, nurzając się we krwi.

— Trafiłem go, panie Beans, dobrze go trafiłem! — zawołał uradowany pastuszek, gdy Joe wchodził do komnaty. — Już nie będzie udawał stracha!

Słudzy tłumnie się zbiegli, zachęceni przykładem sędziwej mistress Jarmy. Ciekawie zaczęli pytać co się stało.

— Poszlijcie kogo na plebanię! — rzekł Joe, ocierając pot z czoła, i zanieście pułkownika Mowbray wraz z biednym Marcinem do biblioteki!

— Nie chcę do biblioteki! — jęknął zbójca umierającym głosem, — nie potrafię spokojnie umrzeć w bibliotece!

— Myśli o swoim bracie! — szepnął Joe do ochmistrzyni, — idź pani do lady Mowbray; nie dla pani ten widok okropny! Ja sam zajmę się ranionymi!

— Joe, zaprowadź mnie do biblioteki! — jęknął Marcin z widocznem natężeniem, posadź mnie w krześle mego zmarłego pana; ja tam chcę umrzeć... Zrób mi to, błagam cię!...

— Dobrze, mój biedny stary, — odparł młody wieśniak, — ale nie trać nadziei: nie umrzesz jeszcze tak prędko, może Bóg pozwoli, że się wyleczysz z tej rany.

— O nie! umrę niezadługo; ale nie pierwej, aż się wszystko wyjawi! — odpowiedział sędziwy sługa.

XLVIII.

Zaledwie pierwszy brzask dzienny oświecił wzgórza i lesistą dolinę Carrowa, a już wieść o nowem zabójstwie popełnionem w Opactwie rozeszła się po całej wsi i okolicznych folwarkach. Zdawałoby się, że jakieś fatum ciążyło na starożytnej Mowbrayów siedzibie, skazanej niby na to, aby nieustannie była widownią najokropniejszych wypadków. Zdumieni wieśniacy spoglądali na siebie, pytając, na czem się to wszystko skończy?

Dzierżawca Ashton i jego żona coprędzej postanowili udać się do zamku; lękali się bowiem, czy ich bratanek nie padł przypadkiem ofiarą tego nowego zamachu.

— Master Harry zdrowiuteńki jak ryba, jest nawet w zamku! — zawołał Joe Beans z daleka, ujrzawszy konie i kabryolet swoich dawnych chlebodawców. Master Harry znajduje się w bibliotece z rektorem i pułkownikiem Butler, bo wszyscy tam się zgromadzili.

— Bogu dzięki! — zawołał poczciwy włościanin, wchodząc z żoną do starożytnego gmachu.

Rzeczywiście, — Henryk otrzymawszy w nocy wiadomość o zaszłych w Carrowskim zamku wypadkach, pospieszył wraz z rektorem, pełen niepokoju o swoją narzeczoną. Wywiedziawszy się od księżnej Devonshire o zdrowiu lady Mowbray i Elleny, udał się do biblioteki, gdzie zastał pułkownika Mowbray na sofie umierającego; boleść i rozpacz wyryte były na jego twarzy zmienionej straszliwie i śmiertelnym potem oblanej. Sędziwy Marcin, z cierpliwą rezygnacyą znoszący swoje cierpienia, zajmował ulubione krzesło gotyckie swego zmarłego pana. Zaledwo ujrzał wchodzącego Henryka, wyciągnął ku niemu rękę, usiłując uśmiechnąć się. Mistress Jarmy i inni domownicy, którzy go otaczali, z trudnością wstrzymali się od płaczu.

— Wkrótce wszystko się dla mnie skończy, panie Harry, — szeptał staruszek, — ale mam nadzieję, że aloes zakwitnie jeszcze. Widzisz pan, żem nie zapomniał tego słowa...

Nasz bohater smutnie pokręcił głową. Jego zdaniem, dziedzic sir Williama spoczywał w grobie Waltera.

— Pułkowniku Mowbray, — odezwał się rektor do nieszczęśliwego złoczyńcy, — zastanów się przecież nad niebezpieczeństwem, w jakiem się znajdujesz; jesteś blizki śmierci... wyznaj przekroczenia i żałuj za nie, a jeżeli możesz, napraw złe, o ile to w twojej mocy, abyś nie stanął przed sądem Boga, Stwórcy twojego, z duszą zbrodniami skalaną.

— Czyli nie ma dla mnie nadziei? — jęknął konający.

Lekarze z powątpiewaniem spojrzeli na siebie.

— Ratujcie mnie! — odezwał się pułkownik, — zapewnijcie mi życie, a wszystko powiem, wszystko!... Życia! życia pragnę, chociażby kosztem hańby! Nie mam odwagi umrzeć!...

Kiedy mu przedstawiono, że ludzka umiejętność nic mu już nie pomoże, zamknął oczy, a pogrążywszy się w milczeniu ponurem, nie odpowiadał na czynione mu zapytania.

— Zatwardziały! zatwardziały do końca! — rzekł zacny rektor z westchnieniem, — umrze, jak żył niegodziwie! Oby mu Bóg przebaczył!

Tymczasem biedny Joe biegał wszędzie jak szalony. Najpierw musiał uspokoić Zuzannę, która z przestrachu bicia serca i spazmów dostała; następnie wypadało pocieszyć Ralfa, którego tymczasowo z rozkazu przybyłych urzędników sądowych pod straż wzięto jako zabójcę pułkownika; nareszcie musiał stanąć jako świadek przy rozpoczętem śledztwie.

Nigdy jeszcze, nawet w dniu śmierci sir Williama, nie było większego zamięszania w zamku.

W tem otworzono drzwi biblioteki, i z zadziwieniem ujrzano owdowiałą lady Mowbray, wspartą na ręku księżnej Devonshire. Chociaż osłabiona i bledsza niż zwykle, przyszła jednak do nieprzyjaznego jej pułkownika, aby matce udzielił objaśnień co do losu jej porwanego syna.

— Walterze, i ja widzę się nad brzegiem grobu, — przemówiła spokojnie, — może za kilka godzin staniemy razem przed sądem wszechmocnego. Głęboko jestem przekonana, że tobie zawdzięczam całe moje nieszczęście, niesławę w obec świata i utratę miłości mojego małżonka! Bądź raz szlachetnym; pozwól, bym uściskała moje dziecię nim umrę, a przed tronem Najwyższego, modlitwy moje przebłagają Jego miłosierdzie dla ciebie, za popełnione zbrodnie!...

Szyderski uśmiech wykrzywił usta rannego; chociaż śmierć zazierała mu w oczy, serce

jego nieczułem pozostało na błaganie strapionej matki.

— Och, jeżeli jest co ludzkiego w tobie, — zaczęła znowu klękając przed nim, — zlituj się nad tęsknotą matki! Czyż za nic uważasz przebaczenie zniewag i krzywd, jakich od ciebie doznałam? Twoje podstępy skłoniły mnie do opuszczenia domu mojego męża, a późniejsze cierpienia prawie do szaleństwa mnie przywiodły! Młodość moja zwiędła we łzach i smutku, a starość pogrążona w tęsknocie i rozpaczy! Och, powiedz jedno słowo!

— Nigdy! — mruknął nędznik patrząc na nią z piekielną złośliwością. — Oto jedyna pociecha, jaka mi zostaje: śmierć moja zniweczy zupełnie nadzieję, która ciebie utrzymywała przy życiu!

— Potwór!... — zawołał głos poważny obok niego.

— Czyj to głos? kto przemówił?

Pułkownik z trudnością obrócił się i spotkał wzrok gniewny Henryka Ashton.

(Dokończenie nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

DŁUGI, SZEROKI I BYSTROOKI.

(Dokończenie.)

Długi wziął go natychmiast na plecy, wyciągnął się i poszedł, — krok każdy mil dwadzieścia. Potem zwrócił Bystrooki swój wzrok ognisty ku górze, która się rozsypała na tysiąc części, wraz z opoką w niej się znajdującą, a w gruzach tych zabłysnął ów kamień drogi. Ten oni wzięli i przynieśli królewiczowi, a skoro go tenże upuścił na ziemię, stanęła znowu przed nim królewna. Gdy potem nadszedł czarnoksiężnik i ujrzał ją, zaiskrzyły mu się oczy złośliwie — i znowu pękła z łoskotem i odpadła na ziemię jedna z opasujących go żelaznych obręczy. Pomrukując ponuro, wyprowadził dziewicę z komnaty.

Dnia tego wszystko znów szło tym samym trybem jak w dniu poprzednim, a gdy po wieczerzy czarnoksiężnik znowu przywiódł królewnę, spojrzał bystro królewiczowi w oczy i rzekł szyderczo:

— Zobaczymy, kto więcej potrafi; czy ty zwyciężysz, czy ja? — To rzekłszy, oddalił się. Tą razą bardziej się jeszcze wszyscy starali nie zasnąć; postanowili nie siadając wcale, chodzić noc całą, lecz to wszystko było daremnem: byli oczarowani. Usnęli przeto jeden po drugim, a królewna znikła.

Rano królewicz znowu się pierwszy obudził, a nie widząc królewny, obudził Bystrookiego, wołając:

— Hej! ty bystre oko, wstawaj! Popatrz, gdzie jest królewna!

Bystrooki patrzył długo.

— Ho, ho! panie! — rzekł — ona jest daleko, bardzo daleko! Trzysta mil ztąd jest czarne morze, w środku morza leży muszla na dnie, a w muszli jest pierścien; ten pierścien to ona. Lecz nie frasujcie się, bo my ją dostaniemy. Dzisiaj i Szerokiego Długi zabrać musi; będzie on nam potrzebny!

Długi wziął na jedno ramię Bystrookiego, a na drugie Szerokiego, wyciągnął się i poszedł, — krokiem każdym mil trzydzieści. A gdy do samego morza przybyli, pokazał mu Bystrooki, w które miejsce po muszlę miał sięgnąć. Długi wyciągnął rękę z całej siły, lecz do dna dostać nie mógł.

— Czekajcie, koledzy, czekajcie! ja wam pomogę! — rzekł Szeroki i rozdął się, ile mu brzucha stało; potem położył się na brzegu i pił.

Po krótkiej chwili woda tak opadła, że Długi z łatwością do dna dostał i muszlę z morza wydobył. Wyjąwszy z niej pierścień wziął towarzyszów na ramiona i spieszył do zamku. W drodze zaciężył mu Szeroki, który jeszcze pół morza miał w brzuchu; zrzucił go przeto w jednej dolinie, a gdy Szeroki upadł na ziemię, jak miech z wieży, cała dolina stanęła pod wodą i zamieniła się w ogromne jezioro, z którego Szeroki z biedą wylazł.

Królewicza tymczasem strach ogarniał w zamku. Zorza poranna zaczęła się z po za gór wychylać, a słudzy jeszcze nie powrócili, a im płomieniściej światło się wznosiło, tym cięższą stawała się jego tęsknota; pot śmiertelny oblał jego czoło. Już słońce pokazywać się zaczęło na horyzoncie wschodnim, jakby wstęga ognista, gdy nagle drzwi z grzmotem się rozwarły, a na progu czarnoksiężnik, który obejrzawszy się po komnacie, gdy królewny nie spostrzegł, wszedł z ochydnym chichotem. Tej samej przecież chwili rozprysło się okno w drobne kawałki, pierścień upadł na podłogę, i królewna stanęła.

Bystrooki bowiem, widząc co się w zamku dzieje, i w jakiem niebezpieczeństwie pan jego się znajduje, powiedział to Długiemu, a Długi dawszy krok jeden, wrzucił pierścień przez okno do komnaty. Czarnoksiężnik tak ryknął ze złości, że aż zamek się zatrząsł; trzecia obręcz żelazna na nim pękła i odpadła, a z czarnoksiężnika zrobił się kruk, który uciekł przez otwarte okno.

Piękna dziewica przemówiła natychmiast, i dziękując królewiczowi, że ją wybawił, zarumieniła się jak róża. W zamku i otoczeniu jego ożyło wszystko: ten, który w sali miecz miał do góry wzniesiony, ze świstem dokończył cięcia i miecz schował do pochwy; ten, który w próg zawadził, upadł na ziemię, lecz wstał czemprędzej chwytając się za nos, by się przekonać, czy cały; ten, który siedział przy kominie, włożył kawał pieczeni do ust, kończąc jedzenie, i tak każdy tego co rozpoczął, dokończył. W stajni konie, uderzając kopytami o ziemię, rżały wesoło; drzewa w około zamku zieleniły się; na łąkach pełno było kwiatów; w powietrzu śpiewały skowronki, a w bystrej rzece gromady rybek drobnych igrały. Wszystko ożyło, wszystko się weseliło.

Tymczasem do komnaty, w której królewicz się znajdował, wielu zeszło się panów i wszyscy dziękowali mu za swe wybawienie. On rzekł na to:

— Nie mnie winniście wdzięczność; gdyby nie moi wierni słudzy: Długi, Szeroki i Bystrooki, byłbym i ja teraz tem, czem wy byliście. Potem udał się w drogę do domu, do starego króla, ojca swego, wraz z swą oblubienicą i swymi sługami Długim i Bystrookim, a panowie wszyscy towarzyszyli mu. W drodze spotkali Szerokiego i wzięli go ze sobą.

Król stary płakał z radości, że jego syn tak był szczęśliwy, mniemał już bowiem, że nie powróci. Potem odbyły się weselne gody, które trzy tygodnie trwały, i na które wszyscy przez królewicza wybawieni panowie byli proszeni. Po weselu oświadczyli Długi, Szeroki i Bystrooki młodemu królowi, że znowu chcą pójść w świat szukać roboty. Król młody nakłaniał ich, iżby u niego pozostali, mówiąc:

— Dam wam wszystko, czego tylko potrzebować będziecie; aż do śmierci nie potrzebujecie już pracować.

Lecz im się takie życie gnuśne nie podobało; poszli przeto za jego pozwoleniem i dotąd po świecie się uwijają.

(Koniec.)

ŻYTEK CZAROWNIK.

Król Więcisław IV-ty wesołym sobie był panem a lubownikiem dowcipów i żartów. Do dworu jego należał niejaki Żytek, człowieczek mądry i zręczny, którego obowiązkiem było dowcipem swoim rozweselać króla w dolegliwościach i cierpieniach, jakie mu krnąbrni panowie czescy sprawiali; był to, krótko mówiąc, wielce lubiony błazen królewski. Lecz Żytek umiał więcej, jak sypać dowcipy; obeznany ze sztuką tajemniczą, obcował nawet, jak pogłoska niosła, z duchami. Dworzanie królewscy bali go się; niejedną przeto sprawkę puszczali mu płazem, którejby komu innemu nie byli darowali. Król miał w nim swoje upodobanie i sam go zachęcał do przypięcia łatki temu lub owemu, który ciekawością niepotrzebną lub czem podobnem zawinił. Lecz i bez zachęty królewskiej wyrządzał on psoty i żartował sobie z dworzan i go-

ści, których król, lubiący wesołe towarzystwo, do siebie zapraszał.

Pospolicie Żytek jadał z paziami i paniczami dworskimi; do stołu królewskiego zaś siadał tylko na umyślne wezwanie. Głodna to była czereda ci paziowie i panicze; ludzie pełni życia i zdrowia, żadnej nie przepuszczali potrawie. Zytek wiedział aż nadto dobrze, że głodnym mógł wstać od stołu, kto nie był mocnym w szczękach i zębach, i rączo o sobie nie radził; lecz łakotnisiem będąc w całem znaczeniu tego wyrazu, lubił nadewszystko wygodę i chciałby był kąski wyborne pożywać i jak najdłużej raczyć się przyjemnością, jaką mu sprawiały. Łakomstwo młodzików gniewało go. Wyglądał przeto okazyi do wyrządzenia im psoty. Przypadek zdarzył się, że dano pysznego szczupaka w galarecie, a ślina zbierała się w gębie, bo ulubioną był jego potrawą. Gdyby się półmisek w ręce paniczów był dostał, jużby było po szczupaku. Miał on podawany być w koło, a najprzód dostał się koniuszemu królewskiemu. Lecz o dziwo! Zamiast widelcem, który mu wypadł z ręki, sięgał w półmisek końską nogą. Przelękniony, zbladł jak ściana. Inni stołownicy odgadując, że to Żytka sprawa, niezmiernie się śmiali. Żytek chwyta półmisek i podaje go z kolei swemu sąsiadowi, lecz i temu przemienia się ręka sięgająca po szczupaka w kopyto. Tu dopiero śmiech ustał, bo towarzystwo całe się domyśliło, że nie o samego koniuszego tu idzie. Żytek podaje dalej, lecz kto tylko po szczupaka sięgnął, miał kopyto zamiast ręki. Tak obszedł półmisek cały stół, a szczupaka nie ubyło. Teraz dopiero Żytek zasiadłszy wygodnie na swem miejscu i postawiwszy półmisek przed sobą, wziął się do roboty tak gruntownie, że z całego szczupaka nic nie zostawił, poczem ukłoniwszy się towarzyszom, opuścił salę. W tej samej chwili każdy miał znowu swoją właściwą rękę.

Gdy król o tej psocie się dowiedział, nie mógł od śmiechu się wstrzymać. Młodzi byliby się na Żytku zemścili, lecz bojąc się, i wiedząc, że on żadnej krzywdy nie przebacza, dali mu pokój.

(Dokończenie nastąpi.)

DWIE MARYE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW POLSKICH

PRZEZ

FR. XAW. TUCZYŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Nagłe uderzenie piorunu wróciło jej przytomność... zerwała się z posłania.

— Wielki Ałłachu! — zawołała, padając na kolana, — zgrzeszyłam przeciw tobie, rozmawiając z niewiernym. O! nie karz mnie za to.

Na to wszedł Jerzy.

— Palmiro, nie bluźnij! — rzekł. — Bóg nie karze nigdy za rozmawianie z niewiernymi. Zsyła on tylko pioruny na ludzi złych i nie żyjących podług nauki Pana...

Chciał wymówić „Jezusa" ale się wstrzymał.

Nazajutrz rano poszedł Jerzy po konie, które się pasły nad rzeką; chciał bowiem zaraz ruszyć dalej. Lecz jakże się zdziwił, gdy ujrzał nadjeżdżającego .. nieznajomego młodzieńca.

W istocie byłto ów nam już z osoby, lubo nie z nazwiska, znajomy młodzian. Puścił koniowi wodze, a ten zgadując stan swego pana, zaniósł go przed szałas Palmiry. Jerzy zajął znowu wczorajsze stanowisko.

Koń stanął. Młodzieniec zdziwił się, nie pojmując, jakim sposobem się tu dostał... Czyż to znowu sen?

Palmira wyszła; gdy młodzieńca zobaczyła, zakrzykła cicho, a serce jej zabiło. Również i młodzieniec zapomniał o jej pogaństwie. Ze-

skoczył z konia i padając przed nią na kolana, zawołał:

— Dziewico! przebacz, że stawam przed obliczem twojem.

— Owszem, cieszę się, że cię widzę. Lecz powiedz mi młodzieńcze, po coś tu przybył?

— Piękna dziewico! ulituj się nademną i pójdź ze mną do mego mieszkania. Tam zostaniesz mą panią. O! nie odpychaj mnie!

— Młodzieńcze, ktokolwiek jesteś, zaklinam cię, abyś tak do mnie nie mówił. Wiem, że jesteś dobrym, ale jesteś niewiernym.

Młodzieniec osłabł, chwiał się.

— Poganko! czarodziejko! aniele! lub czem ty jesteś... powiadam ci, że bez ciebie żyć nie mogę. Twoja piękność mnie oczarowała.

— Nie rozumiem, co mówisz. Ale młodzieńcze, wstań i powiedz mi, czemu ty klękasz przedemną?

— Bo ja chcę, abyś ze mną życie dzieliła, abyś ze mną życie do śmierci dzieliła, — rzekł, powstawszy.

— Ty mnie chcesz wziąść do twego haremu?

— Do haremu? Co to jest harem?

— Tego nie wiesz, a chcesz, abym z tobą życie dzieliła? Powiem ci więc. W haremie mieszkają żony męża. Ale ja z tobą nie pójdę, boś ty niewierny, a Ałłach nam błogosławić nie będzie.

— Ale Chrystus Pan, którego ty dziewico nie znasz!

Palmira smutnie zwiesiła głowę i ręką kiwnęła, jakby żądala zaprzestania owei rozmowy.

— Tak, Chrystus Pan, — kończył dalej młodzieniec, — którego ty poznasz i ukochasz go i uwierzysz w niego. Będziesz panią u mnie, będziesz miała bogactw bez liku.

— Bogactw ma Jerzy pod dostatkiem, a on dobry niczego mi nie odmawia.

Na wspomnienie Jerzego uderzyła młodzieńcowi krew do głowy. Jerzy i zawsze Jerzy!... któż on jest?... może jej kochanek?... może porywca... może od rodziców uciekli. Ha...

— Któż jest Jerzy?

— Mój przyjaciel, którego bardzo kocham.

— Ty kochasz Jerzego?... a ja o tem nie wiedziałem!

— Powiadałam ci wczoraj. O! gdybyś go znał! To bardzo dobry człowiek.

— Ale pytam się, któż on jest? — zawołał młodzieniec z ogniem.

Palmira nie rozumiała.

— Przypatrz mu się młodzieńcze! — dał się słyszeć w tej chwili jakiś głos z tyłu.

Młodzieniec się odwrócił — jakiś człowiek stał za nim.

— Ktoś ty?

— Jam jest ten Jerzy, o którego się pytasz.

Jeden rzut oka przekonał młodzieńca, że Jerzy nie mógł być jej kochankiem. Lubo Jerzy nie był jeszcze starym, gdyż ledwo liczył lat pięćdziesiąt, to jednak długa broda i ubiór wschodni dodawały mu jakiejś powagi, niby starości.

Młodzieniec rzekł dalej:

— Starcze, słyszałeś naszą rozmowę?

— Słyszałem.

— Ktokolwiek jesteś, zaklinam cię, nakłoń tę dziewicę ku memu żądaniu.

— Młodzieńcze, — rzekł Jerzy, trzęsąc prawicą, — jeźliś miał niecne zamiary w sercu twojem, uklęknij przed tym czystym aniołem i błagaj o przebaczenie.

— Jestem Polak! — rzekł dumnie młodzieniec. — Żaden Polak nie splami się niecnotą.

Jerzy podał mu rękę.

— Twoja szczera twarz jest mi rękojmią, — rzekł, — i wierzę ci młodzieńcze. Jednak z tego nic być nie może, tyś chrześcianin, a ona muzułmanka. Czyż kościół wasz związek pobłogosławi?

— Niechże ona zostanie chrześcianką!

Jerzy machnął ręką.

— Zostawmy to do woli Boga i odstąp od twego żądania, młodzieńcze.

Młodzieniec smutnie zwiesił głowę, uznając niestósowność swego żądania.

— Cudzoziemcy! — rzekł wreszcie, — nie odmówicie mi jednak tej łaski, abyście nie zechcieli w mem mieszkaniu tak długo się osieść, jak długo zechcecie. My Polacy nie pozwalamy nikomu niedostatku cierpieć. Jakżeż, czyż przyjmujecie ofiarowaną wam przezemnie gościnę?

Jerzy się wahał. Młodzieniec rzekł znowu:

— Nie obawiaj się starcze, jestem nadto dobrym chrześcianinem, abym coś według mej wiary niecnego uczynił.

Jerzy podał mu rękę.

— Przyjmuję młodzieńcze z wdzięcznością.

— Jedźmy!

Zaraz wszyscy troje uszykowali się do po-

dróży. W drodze Jerzy zaczął się z daleka wypytywać o stosunkach zaszłych w Polsce, nieznacznie dowiedział się tylko cokolwiek, bo zbyt krótka droga nie dozwoliła dłuższej rozmowy. Jerzy nie chciał się wprost zapytać, aby się nie zdradzić. Dojechali do mieszkania. Jerzy nie znał tego dworu, gdyż nigdy w tych stronach nie bywał.

Sporządzono zasiłek i usiedli. Rozmowa była bardzo ożywiona, gospodarz wesoły.

Naraz Jerzy zbladł, znów się zaczerwienił, znów zbladł. Obłąkanym okiem wodził po komnacie, a ustami ruszał, jakby cichą szeptał modlitwę. Zdziwiony młodzieniec wpatrywał się w jego twarz, a Palmira troskliwie się o przyczynę wypytywała.

— To nic, to nic, moje dziecię, a potem zwróciwszy do młodzieńca mowę, rzekł: Młodzieńcze! każ tej dziewicy wskazać jej mieszkanie, a my pozostaniemy sami.

— A to czemu? — zapytał zdziwiony młodzieniec.

— Dowiesz się zaraz, tylko wprzód uczyń, jak mówię.

Na rozkaz młodzieńca zaprowadzono Palmirę do komnaty dla niej przeznaczonej.

Młodzieniec z Jerzym pozostali sami.

— Kto był twoim ojcem? — zapytał Jerzy. — Jakie nazwisko miał twój ojciec?

— Błażej Różewski.

— O! wielki Boże! — zawołał Jerzy — — więc my jesteśmy na Trzciniaku?

— Zastraszasz mnie, starcze. Cóż w tem tak okropnego. Jesteśmy na Trzciniaku, majętności mojej.

— Na Trzciniaku! na Trzciniaku! — powtarzał Jerzy, jakby się z tą myślą pogodzić nie mógł. — Ale młodzieńcze, kto ty jesteś?

— Jam jest syn świętej pamięci Błażeja, Stanisław Różewski.

— Wiem, wiem, to było małe chłopię za mych czasów. Pamiętam jeszcze jakby dziś, owego rumianego chłopczyka, bujającego swobodnie na małym koniku. Ach! jaki młodzian piękny z ciebie wyrósł! co za mężność w twej twarzy, co za kształtna budowa ciała!

— Dziwny z ciebie człowiek, — rzekł zdumiony Stanisław, — przybywasz z daleka z innego kraju, a przecież mnie znasz.

— O! znam ciebie, znałem i ojca twego, znałem całą twoją rodzinę.

— Znałeś?

— Tak, znałem. Ale to już dawno. Ty byłeś małym chłopczykiem, a teraz jesteś mężem, więc cię nie poznałem.

— Starcze, powiedz mi zatem, kto ty jesteś?

Jerzy zamiast odpowiedzieć, powstał i przystąpił do młodzieńca.

— Młodzieńcze! — rzekł, — kochasz ty dziewicę Palmirę?

Stanisław westchnął.

— Kocham, bardzo kocham, — odrzekł. — Czułbym się bardzo szczęśliwym... bez niej będzie mi życie nie miłe. Oh! gdyby była chrześcianką!...

— Stanisławie! jeśli twoja mowa szczera, jeśli słowa twoje pochodzą z głębi duszy... o! wtenczas uznaję w tem Opatrzność Bozką, uznaję w tem palec Boży. Tak więc sam Bóg łączy tu dwa zwaśnione pokolenia...

— Starcze, tłómacz się wyraźniej; nie mogę pojąć twej mowy.

— Nim ci się wyraźniej wytłómaczę, odpowiedz mi rzetelnie na moje pytania. Ilu was jest potomków po Różewskich?

— Z całego rodu jestem tylko ja sam jeden.

— Sam jeden, sam jeden, — powtarzał Jerzy, — to kara Bozka. Z tak krzepkiego rodu sam jeden... otóż to skutki waśni.

— O jakich skutkach mówisz?

— Kiedy ojciec twój umarł? — zapytał Jerzy, nie odpowiadając na powyższe pytanie.

— Już dawno temu. Mieszkał tu przed laty niejaki Kostrzewski. Ja go wprawdzie nie znałem, gdyż byłem natenczas dzieckiem jeszcze, ale podobno szanowano go w całej okolicy. Dla pewnych jednakże powodów najechał stryj mój, Michał, Kostrzew, ale Kostrzewskiego już tam nie było, gdyż wskutek wygnania uszedł do Palestyny. Przy zdobywaniu Kostrzewa poległ mój ojciec.

— Więc tak marnie skończył twój ojciec! Otóż to skutki łotrostwa Michała. Ale powiedz mi, czy już banicyę zdjęto z Kostrzewskiego?

— Już dawno temu... niedługo po zburzeniu zamku. Byłem w tej tam stronie niedawno. Ani poznać, tak pięknie zamek odbudowano. Skirmunt oczekuje na przybycie Kostrzewskiego, ale ten przepadł bez wieści.

— Stanisławie, czy i ty pałasz niezasłużoną nienawiścią przeciw temu nieszczęśliwemu rodowi?

— Nie, starcze, pierwszybym rękę podał do zgody, pierwszybym uściskał Kostrzewskiego.

— Kocham cię za to młodzieńcze. Stanisławie, ty więc będziesz pierwszym, któremu mą tajemnicę powierzę.

— Tajemnicę?

— Tak tajemnicę. Znasz, poznajesz dziewicę tę, którą kochasz?

— Znam, to jest poganka, córka jakiegoś baszy.

— Poganka, ale jednak ochrzcona.

— Wszakże mi ona sama powiadała, że jest poganką.

— Stanisławie, ona sama nie wie, kto ona jest.

Tu Jerzy wlepił w Stanisława swe oczy, jakby chciał widzieć skutek, jaki mowa jego na młodzieńcu wywrze. Po małej chwili rzekł:

— To jest Marya Kostrzewska, córka Adama Kostrzewskiego.

Zerwał się Stanisław, zadrżał, serce mu gwałtownie zabiło.

Krzyknął więc z uniesieniem:

— O! pozwól, niech pobiegnę, niech powitam, niech upadnę jej do nóg.

— Nie, zaczekaj, młodzieńcze. Ona o niczem nie wie. Ja jej sam to powiem, ale nie tu, tylko na Kostrzewie. Tam, gdy zobaczy portrety swej matki, i już w Bogu spoczywającego ojca, o! tam mi uwierzy. A teraz młodzieńcze zaklinam cię, abyś się żadnym nie zdradził wyrazem.

Tu rozpoczęła się długa rozmowa, w której Jerzy opowiedział Stanisławowi dzieje lat ośmnastu. Młodzieniec uczuł łzy w oczach, ścisnął czule rękę Jerzego, a w końcu wykrzyknął:

— Więc to chrześciańskie dziecko, Polka! O Boże, uczuwam, żeś Ty mnie przeznaczył do położenia kresu dalszym niesnaskom, — rzekł młodzieniec, i wzniósł ręce ku niebu. Tak, koniec owej dziwacznej nienawiści; dość krwi niewinnej, dość mordów niepotrzebnych. Boże! dopomóż mi!

— I ja z mej strony wołam: Boże dopomóż mu! — rzekł rozczulony Jerzy.

— Potrzebaż było, — mówił dalej Stanisław jakby w zamyśleniu, aby ta niewinna dziewica, ten anioł, rósł przez tyle lat pod obcem niebem, w innej, pogańskiej religii, zdala od rodzinnego ogniska i sierotą... i jam sierotą... a to dla nienawiści ojców naszych!

— Tak, tak, młodzieńcze, — rzekł, kiwając głową Jerzy, — to kara Bozka za grzechy ojców. Ale jak niesnaski nasze były dawniej srogie i mordercze, tak niech przyjaźń nasza będzie odtąd święta, stała, wieczna.

Uściskali się obaj mężowie na znak potwierdzenia ostatnich słów Jerzego. Nagle Jerzy, jakby się ocknął z zadumania, zawołał:

— Bywaj zdrów, młodzieńcze. spieszę z Maryą na Kostrzew.

— Już teraz?

— Natychmiast.

— A mnie nie wolno wam towarzyszyć?

— Nie, ja z nią muszę mówić.

— Żałuję, ale zostanę, kiedy tak ma być. Jednak niech ją przynajmniej pożegnam.

Poszli do Maryi. Zastali ją wpół leżącą, wpół siedzącą i uśpioną. Sen to był twardy, głęboki... snadź coś przyjemnego marzyła, bo usteczka jej ściągnęły się do uśmiechu. Mimowolnie stanęli mężczyźni przy drzwiach komnaty, nie śmieli kroku dalej postąpić, aby jej nie zbudzić, i już zwrócili się, aby komnatę opuścić, gdy w tem Marya otworzyła oczy. Zdumionem okiem powiodła na około, a na widok młodzieńca okrasiła twarz wstydliwym rumieńcem.

— Czemu mnie na tak długo opuściłeś Jerzy? — rzekła głosem, odbijającym wiernie jej dziecinne przywiązanie do starca.

— Palmiro! czas nam w drogę, przygotuj się do podróży.

— Dokąd pojedziemy?

— Do twej własności.

— O jakiej własności mówisz?

— Zobaczysz.

Niedługo potem w towarzystwie sług kilku Stanisława, jechał Jerzy z Palmirą ku Kostrzewu. O! jak mu serce biło! jak błogie uczucia miotały jego duszą. Prawie dwadzieścia lat minęło, jak ze łzami żegnał te strony — teraz znów ma je zobaczyć, ma na Kostrzewie żyć i w kolebce żywota swego także prochy swe złożyć. Im bliżej był Kostrzewa, tem radość mocniej go wzruszała, a gdy wreszcie ujrzał wysmukłe wieże Kostrzewa, nie mógł dłużej wytrzymać, padł na kolana, schylił oblicze i ucałował ziemię, ziemię świętą, bo rodzinną.

ROZDZIAŁ VIII.

Na Kostrzewie wszystko wróciło do dawnego porządku i do dawnego życia. Zamek odmłodniał; z kupy gruzów wzniósł się pod niebiosa gmach wspaniały, podobny do rozwalonego, tylko młodszy, tchnący świeżością. Ale za to mieszkańcy zamkowi zachodzili coraz więcej w lata. Skirmunt osiwiał jak gołąbek, siły coraz więcej go opuszczały, nie mógł już konia dosiadać, ani szabli w rękę ująć. Zarząd zamku zdał już od dawna na Jana, który nierównie młodszy, miał więcej siły do dźwigania ciężaru zarządzcy. Był on jeszcze krzepkim, w samej sile żywota mężczyzną, natomiast Zdzisław, równy co do wieku Skirmuntowi, ale złamany burzliwem i nieszczęśliwem życiem, więcej uczuwał ciężaru starości, aniżeli Skirmunt. Głowa Zdzisława była jak miesiąc w pełni, łysiuteńka; miał tylko począwszy na samym dole głowy, od jednego aż do drugiego ucha, koronkę z bardzo rzadkich, niby len białych włosów. Ręce mu się trzęsły, a nogi miał tak słabe, że go tylko przy pomocy laski nosiły. Wzrok osłabł, nie poznawał już zdala nikogo, słuch miał stępiony, słowem Zdzisław przedstawia nam obraz zgrzybiałego, nieudolnego starca.

Zima, owa starość, zgrzybiałość roku, owa najnieprzyjemniejsza pora dla stworzeń organicznych, zwinęła swoje białe pokrycie z okolicy Kostrzewa, i zwalczona od pchanej niewidzialną ręką wiosny, runęła w przepaść wieczności. Ziemia pozbawiona białej pokrywy, ustroiła się w piękne kwiecia, powietrze zaszumiało różnego rodzaju ptastwem, lasy zazielenione napełniły się chórem śpiewaków. Tu i tam bociany parami odszukały swe dawne gniazda, stanęły na nich, przewróciwszy dzioby na plecy, a przywitawszy rodzinne gniazdo klekotem, rozpoczęły naprawę siedliska. Jaskółki nagle znalazły się rano — zkąd przybyły? nikt nie wie. Świergocą one bardzo wiele, może mieszkańcom opowiadają dzieje swych podróży, ale któż ich język rozumie? Gdzieś w boru kukułki szukają się bez ustanku... pewno się znalazły, bo się na cały głos rozśmiały. Czajki wielkiem kołem tańczą po nad łąkami, przewracając się w powietrzu, raz na bok, inny raz na plecy.

Piękną jest wiosna w naszych czasach, ale stokroć była ona piękniejszą, kiedy jeszcze człowiek nie odebrał naturze jej pierwotnej postaci. Gdzie dawniej były lasy, tam dziś ledwie okiem przejrzane ugory i piaszczyste pola; miejsca, gdzie dawniej tysiące ptastwa kąpało się w krysztale wód, dzisiaj pruje maszyna torfowa. Dzisiejsza wiosna do dawniejszej, jest jak w porównaniu nasze doniczkowe kwiaty do kwiatów, jakie znachodziły w ich gorącej ojczyźnie.

Kostrzew otoczył się przepychem wiosennym. Skirmunt, Zdzisław i Jan wyszli do zamkowego ogrodu, aby oko nasycić i piersi wiosennem powietrzem pokrzepić. Długo, długo siedzieli, milcząc, bo przepych natury napełnił ich serca myślą o potężnym Stwórcy tego wszystkiego, co oglądali. Myśl wzniosła się ku niebu, a usta wyszeptały modlitwę dziękczynną.

— Janie, — rzekł wreszcie Skirmunt, — nachodziłeś się po obcych krajach niemało, napatrzyłeś się cudowności rozmaitych, powiedz więc, czy są kraje piękniejsze nad naszą ukochaną Polskę?

Zagadniony zwrócił swe oko na mówcę, jakby się dziwił zapytaniu.

— Nie, Skirmuncie! — odrzekł z zapałem, — nie widziałem. — Nigdzie mi nie było tak lekko, jak w naszej ukochanej Polsce — ona mi się najwięcej podoba. Żaden kraj nie ma takiej wiosny, w żadnym kraju nie doznawałem takiego uczucia, jak w naszej kochanej Polsce.

— O! tak Skirmuncie, — powiedział Zdzisław, — szczęśliwy ten, komu Pan Bóg na ojczystej ziemi pozwoli złożyć kości. Ale iluż to mamy nieszczęśliwych, którzy zdala od rodziny, zdala od ojczyzny zamkną oczy na wieki, nie słysząc nawet głosu mowy ojczystej.

— Tak się może stało z Adamem, Maryą i Jerzym, — dorzucił Skirmunt.

— Skirmuncie, sami sobie życie chcecie zatruwać, a nam nadzieję odebrać, — rzekł na to Jan. — Po co się troszczyć i wystawiać sobie rzeczy najgorsze? Ja z mej strony zawsze mam nadzieję, że się to wszystko w radość obróci.

— Święte byłyby twe słowa, Janie, — mówił znów Zdzisław, trzęsąc prawicą; — jednak nie można mieć nierozsądnej nadziei. Ty byłeś wszędzie, szukałeś ich, a nie znalazłeś. Czemu? bo ich ciał szukałeś na ziemi, a może one dawno już głęboko w ziemi.

— A jednak przeczucie mi mówi, że ich źle szukałem, chociaż jeszcze są na ziemi. Może

właśnie tam nie byłem, gdzie się oni znajdują, może ich nawet widziałem, ale nie poznałem.

— Święte byłyby twoje słowa, mój poczciwy Janie, — rzekł rozczulony Skirmunt. — Jeżeli Bóg cię natchnął tą nadzieją, to się ona ziści, i Bóg pozwoli mi jeszcze oglądać owe drogie osoby. Z jaką radością powitałbym Adama!

— Mnie pewno Bóg nie dozwoli oglądać moje kochane dziecię, — wyjęknął Zdzisław, — bo życie moje było bardzo grzeszne. Trwałem tak długo w pogaństwie — za to mi też Bóg tej łaski odmówił.

— Nie wiadomo, co Pan Bóg postanowił, — rzekł Skirmunt pocieszająco.

— Pomimo, że ich w mych podróżach nie znalazłem, — rzekł Jan, — jednak mam nadzieję, że ich oczy nasze za żywota jeszcze oglądać będą. Tak, mam nadzieję, mam przeczucie, a Bóg nigdy przeczucia napróżno w serca ludzkie nie wlewa. Bóg ich tu do nas przyprowadzi...

— Amen! — rzekli jednogłośnie obydwaj starcy.

Trąbka na wieży zagrała i równocześnie usłyszano tętent galopującego konia.

Było to coś nadzwyczajnego, bo gość rzadko zawitał do Kostrzewa. Chyba czasem zabłąkany podróżny, albo poseł ze sąsiedztwa.

— Pospiesz Janie zobaczyć, co nam Bóg zdarza, — rzekł Skirmunt powstając — a ja ze Zdzisławem udamy się na pokoje.

Jan pobiegł.

Pod bramą oczekiwał jakiś jeździec; snadź jedzie zdaleka, bo szaty miał zakurzone, a koń zziajany robił mocno bokami, bijąc kopytem z niecierpliwości w ziemię.

Jan pyta:

— Kto jest? czego żąda?

Jeździec odpowiada:

— Posłaniec, mam zlecenie do Skirmunta.

— Nie możesz mi powiedzieć tego zlecenia?

— Nie, samemu Skirmuntowi powiem.

Brama się otworzyła, jeździec wjechał, zsiadł z konia, a Jan wprowadził go na pokoje do Skirmunta.

Jeździec i Skirmunt zostali sami, drzwi się za nimi zawarły. Rozmowa była tajna, długa, snadź ważna, bo czasem słychać wykrzyknienie Skirmunta! ach Boże!... ach... znów cichy szept.

Zawołano wreszcie Jana... znów trwała narada. O czem? nikt nie wie. Daremnie służba głowę sobie łamała, zgadywano, ale nikt na pewno nie wiedział. Pewno pójdą do krwawego tańca, może wróg granicę najechał, więc trzeba go nauczyć rozumu... ale kogo? pewno Niemca lub Czecha.

Tak sobie służba wnioskowała. Jaki taki poszedł do stajni pogłaskać cisaka, inny wyostrzył miecz, inny pancerz przymierzył... bo, że bójka będzie, to pewno... o gdyby jak najrychlej wrogowi szabelką na karku zadzwonić.

(Dokończenie nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Zangiel ziele, Sanicula, rośnie po ciemnych i wilgotnych lasach, liście ma na długich stópkach, wyszywane i po brzegach czerwono kropkowane; kwiat ma biały, z którego rodzą się główki ciemno zielone, czepiące się szat. Liście służy na rany, wrzody, fistuły, ruptury i krwawe biegunki.

Zęby babie, ziele, Paretrum, rośnie w ciemnych i gęstych lasach, korzeń ma jakby z wielu zębów złożony, liście do konopnych podobne, tylko że krótsze, a kwiatki fiołkom podobne. Korzeń na rany przykładany goi je i dobry także na ruptury i na zamulenie kiszek.

Żmijówka, ziele, znane, rośnie w cieniu przy płotach i parkanach, korzeń ma wielki, okrągły i biały, liście do kobylego szczawiu podobne; pręt ma gruby, czerwono upstrzony, a na wierzchu kwiat pomarańczowy. Korzeń płód martwy wyprowadza.

(Dokończenie nastąpi.)